

Wiener Schnitzel Arystoklesa

Pra-początek prakseologii

— No, to — powiada Sokrates — zachowaj jeszcze dla siebie i to sobie pamiętaj, czego on jest miłością, a mnie powiedz tylko tyle, czy Eros pragnie tego, do czego się odnosi, czy nie?

— Oczywiście — powiada.

— A czy on ma to, czego pragnie i co kocha, a mimo to dalej pragnie i kocha, czy też on tego nie ma?

— No, może i nie ma.

Pomyśl no — powiada Sokrates — czy tylko „może”, czy też raczej musi tak być, że się pragnie tego, czego się nie ma, a gdzie nie ma braku, tam i pragnienia nie ma. Bo mnie się ciągle zdaje, mój Agatonie, że tak już musi być. A tobie jak?

— No, i mnie się też — powiada — zdaje.

— To ładnie; a proszę cię, czy może ktoś, będąc już słusznym, pragnąć, żeby był słusznym, albo będąc silnym, pragnąć, żeby był silny?

— Nie może, wobec tego, cośmy powiedzieli. — Aha, bo mu tego nie brak, skoro już takim jest.

— Prawda.

— Gdyby zresztą ktoś silny pragnął być silnym — powiada Sokrates — a szybki w nogach szybkim, a zdrowy zdrowym by chciał być — no, mógłby ktoś w tych i tym podobnych wypadkach powiedzieć, że tu przecież ludzie o pewnych cechach i właściwościach pragną jednak tego, co każdy z nich ma — żeby nie było nieporozumienia, dlatego to mówię — otóż, uważasz, Agatonie, każdy z tych ludzi musi obecnie mieć to, co posiada, czy chce, czy nie chce, a gdzieby tam kto pragnął takich rzeczy? Ale gdyby ktoś mówił, że oto ja jestem zdrowy, ale i chcę być zdrowym, albo: jestem bogaty, ale i chcę być bogatym i chcę właśnie tego, co mam, powiedzielibyśmy mu zapewne, że „Ty, człowieku, masz majątek i zdrowie, i siłę, a chciałbyś te rzeczy i w przyszłości posiadać, bo teraz je masz, czy chcesz, czy nie chcesz. Więc zastanów się, czy, kiedy powiadasz: »Pragnę tego, co mam obecnie«, czy ty nie mówisz właściwie: »Ja chcę i w przyszłości mieć to, co mam obecnie«”. Zgodziłby się na to, nieprawdaż?

Agaton przyznał słusność.

A Sokrates powiada: — A więc, czyż i to nie jest kochanie tego, czego człowiek jeszcze nie posiada obecnie, to pragnienie, żeby to coś w przyszłości istniało?

— A tak — powiada.

— Więc i w tym wypadku, i w każdym innym, kto tylko pragnie, ten zawsze pragnie tego, co jeszcze nie istnieje, czego jeszcze nie ma, czego nie posiada, pragnie być takim, jakim jeszcze nie jest, pragnie tego, czego mu brak; taki, mniej więcej, jest przedmiot każdego pragnienia, miłości?

— Oczywiście — powiada.

— Ano — mówi Sokrates — zestawmy to, cośmy powiedzieli. Więc najpierw, że Eros musi się do czegoś odnosić, a potem, że do tego, czegoś komuś brak. Prawda?

— Tak jest — powiada.

— A teraz przypomnij sobie, do czego to się Eros odnosi, jakieś powiedział w swojej mowie? A teraz pozwolisz, że ja ci przypomnę. Zdaje mi się, żeś tak jakoś mówił, że pośród bogów porządek jakiś nastął, odkąd w nich wstąpiło zamięłowanie do tego, co piękne: bo nie masz Erosa ku temu, co szpetne jest i złe. Nie tak jakoś mówiłeś?

— A mówiłem — powiada Agaton.

— Bardzo słusznie, mój przyjacielu — powiada Sokrates. — Więc jeżeli tak, to Eros byłby miłością tego co piękne, a tego, co szpetne nie? Czy może inaczej?

— Przyznał.

— No, a nie zgodziliśmy się już, że miłość odnosi się zawsze do tego, czego jej brak, czego nie ma?

— Tak — powiada.

— A zatem Erosowi piękna brak i on go nie ma.

— Musi być tak — powiada.

Proponuję uruchomić tryb swobodnej i niezobowiązującej spekulacji im. Jonasa Corvuxa Mickeya i pomyśleć, jak mógłby wyglądać świat, gdyby facet poszedł w tę stronę – zajął się rozwijaniem myśli o celowości działania i przykładając ją do realiów ateńskich, zamiast narzekać na plebs, negując wszelką wartość jego trywialnych czynów, takich jak codzienna praca czy robienie kasy lub kariery, nie przystające do jego arystokratycznego poczucia smaku. W przytoczonym fragmencie możemy dostrzec, że miał niezłe zadatki ku temu i nie byłoby to wielce nieprawdopodobne – już w tym dialogu przeszedł bowiem blisko. A nawet jeśli sam nie zostałby prakseologiem czy austriackim ekonomistą à rebours, ale dostatecznie wyraźnie zaakcentował możliwość rozwoju myśli w tym kierunku, znając jego wpływ (*impact factor*), zrobiłby to ktoś inny – może już nawet Arystoteles, który ekonomią i tak się zajął, tyle że raczej tą makro-. Co akurat nie jest niczym dziwnym – znamy umiłowanie pierwszych zasad i globalnego ujmowania zjawisk, charakteryzujące greckich myślicieli tamtych czasów.



Impact factor

Wpływy Platona na współczesnych nam ludzi są zresztą wciąż zaskakująco duże. W dalszym ciągu wielu na jego pracach zaczyna swą przygodę z filozofią, wielu także niestety i na nich ją kończy. Jeszcze inni, bywają na tyle zafascynowani ich estetyką, że dla niej samej są w stanie bronić treści, nawet tam gdzie jest ona dziś nie do obronienia. Niestety nie pamiętam nazwiska tej poczciwej i czcigodnej osoby z kręgów akademickich, która w wywiadzie opowiadała o swym zaczadzeniu postacią Arystoklesa, na tyle mocnym, że starała się bronić nawet jego poglądów dotyczących niewolnictwa i opamiętanie przyszło dopiero później. Czytałem ten wywiad parę lat temu, wątpię abym był go w stanie odszukać, ale wywarł niezapomniane wrażenie. Wciąż możemy znaleźć ludzi, którzy stosują się do platońskich rad z zakresu wielu dziedzin, wciąż możemy znaleźć ludzi, którzy chcieliby być mu bliskimi, bo i on jest dla nich bliski. „Pan i jego filozof” A.D. 2012 chciałoby się rzec.

Jestem w stanie zrozumieć tych ludzi, tak samo zresztą jak i samego Platona. Jeśli przeczytacie wstęp Witwickiego do najpopularniejszego w Polsce zbioru dialogów i sięgniecie do charakterystyki filozofa, jaka się w nim znajduje, w zasadzie otrzymacie obraz bliski mojej osobie.

Chłopak znakomicie umiał opowiadać i nadzwyczajnie naśladować ludzkie ruchy, tony mowy, sposób bycia. Rwał się na przedstawienia do teatru i po całych dniach czytał dramaty. Komedie Epicharma musiał mieć zawsze pod poduszką. Wcześniej też zaczął sam pisywać dytyramby i tragedie.

W towarzystwach bywał, oczywiście; zbierał wzorki, obserwował, jak kto mówi i jaka się w towarzystwie wytwarza sytuacja wzajemnych zamiarów i myśli skrytych poza słowami; bywał, bawił się, uczył się, służył w konnicy, życie miał jedwabne, a jednak nie był zadowolony do dna. Robić nic nie musiał z obowiązku; polityka go mierziała; nie miał najmniejszej ochoty iść na Pnyks czy na rynek, przedzierać się przez brudny tłum i polemizować z mównicą z lada kim. Czuły był jak mimoza na wszelkie zbyt grube dotknięcia. Toteż nachodziły go nieraz dziwne roztesknienia i smutki: jakaś potrzeba płaczu na czyjeś piersi, jakieś pragnienia rzeczy niewidzialnych, górnych, jakieś marzenia o światach lepszych, o ludziach doskonalszych, innych niż ci krzykliwi politycy w Atenach. Czytywał pieśni orfickie o początkach wszechrzeczy, ciekawie słuchał wieści o dalekim, pełnym cudów i tajemnic Egipcie, marzył o oddalonych wyspach w słońcu, godzinami patrzył po nocy nad morzem, jak wschodziły gwiazdy a w nieokreślonej dali połyskiwały światelka na trójrzędowcach. Skąd płynęły, nie wiadomo; ale to pewne, że z innych, dalekich, pewnie cudnych krain. Jakiś głód rzeczy nowych, innych, odmiennych, lepszych; jakaś żądza poznania i podniesienia się ponad pospolity świat.

Miałem, co prawda, trochę inne lektury i nie służyłem w konnicy, ale reszta – zwłaszcza opisywanych skłonności się zgadza, włącznie z zainteresowaniem (starożytnym już dzisiaj) Egipcie. Znajdziecie we mnie podobne wyrafinowanie i subtelność, słabość do sztuki, przejawiającą się nieco teatralnym sposobem bycia. Podobnie jak u Arystoklesa dziecięce marzycielstwo z czasem utemperowane logicznym rygoryzmem dyskusji zmieniło się w spekulację, rozedrgana egzaltacja rzeczami niewidzialnymi i wzniosłymi – w holistyczną, monistyczną i hierarchiczną wizję mechanizmów–zasad rządzących światem, także tym ludzkich dążeń, podbita nieco wyżej sakralnym tonem. Czy wreszcie to samo zmęczenie nieoptymalnymi realiami politycznymi, skutkujące stworzeniem własnego ideału, racjonalizującego je. Na dobrą sprawę, jeśli przyjrzyć się bliżej temu, jak Platon postrzegał ustrój państw, a mianowicie jako emanację odpowiednich charakterów:

Czy myślisz, że ustroje powstają skądś tam, z jakiegoś drzewa, czy z kamienia, a nie z obyczajów tych ludzi, którzy są w państwach? (...) Jeżeli jest pięć rodzajów państw, to i pięć będzie rodzajów struktury duchowej ludzi prywatnych.

„Państwo”, Księga ósma, 544 B, s. 252 Wydawnictwo ANTYK, Kęty, 2003

bądź przyjąć jedną z interpretacji, mówiącą że „Państwo” de facto jest jedynie moralitetem odnoszącym się wyłącznie do człowieka i jego wewnętrznego ustroju (moralnego), zestawivszy to z moimi pracami, zauważymy uderzające podobieństwo – z tą różnicą, że ja postuluję faktyczną możliwość uzewnętrzniania tej „struktury duchowej ludzi prywatnych” poprzez nadanie im suwerenności, która wpłynie dalej na pełniejszą realizację wszelakich potencjalnych bytów i relacji między nimi, jakie wyniknąć mogą, gdy da się [ludziom] całkowicie wolną rękę w obrębie ich własności. Mimo odmiennego charakteru państwowości wtedy i dziś, historia w jakimś stopniu zatoczyła jednak koło.

Tajemnica teorii form

No i ta platońska teoria form... Zdradzić Wam jej sekret? Tajemnicę długowieczności graniczącej z nieśmiertelnością? Wyjaśnić, z jakich powodów ludzie do dziś są jej gotowi bronić, pomimo istnienia kontrargumentów w rodzaju „trzeciego człowieka”?

Zajmował go Sokrates zrazu jako znakomity motyw artystyczny, jako pyszna figura charakterystyczna, od której trudno było oczy odwrócić, jako nadzwyczajny aranżer szczególnych sytuacji w rozmowach; obaj mieli artystyczną żyłkę, obaj się dusili w mieszczańskiej atmosferze Aten; tylko gdy młody, subtelny Platon stał wobec tego środowiska ze wstrętem i obawą marzyciela wobec ordynarnej rzeczywistości — Sokrates, wychowany w tłumie, nie brzydził się i nie obawiał walki wręcz z jego najtęższymi wodzami, i wychodził zawsze zwycięsko.

Jakże go po kosmatych rękach całować musiał biały Platon po takiej nadzwyczajnej rozmowie z tępym Eutyfronem o pobożności i jak mu smutne oczy błyszczeć musiały, kiedy trzeźwy inżynier Kallikles bronił wartości i zwycięstwa siły w walce o byt, a Sokrates mówił o moralnym tryumfie dusz bezbronnych a jasnych, chociażby padły nawet, złamane przemocą gawiedzi.

(...)

A kiedy godzinami rozmawiał Sokrates o dzielności, o pięknie, o miłości, rozkoszy, odwadze, kiedy pracowicie odrzucał jednostkowe odpowiedzi pytanych, bo szło nie o poszczególne przykłady, tylko o treść pojęcia ogólnego, kiedy się przechodziło szeregi przykładów z życia, odrzucało cechy nieistotne, a zbierało cechy wspólne, kiedy się w umysłach młodych ludzi z wolna formowała abstrakcja jasna i skończona jak kryształ, Platon czuł, że się przed nim jakiś nowy, upragniony świat otwiera. Zdawało mu się, że Sokrates mówi właśnie tak, jak on od dawna pragnął, żeby ktoś mówił. Tak jest! (...) To nie może być, żeby w świecie wszystko wciąż musiało ginać, żeby żywiołem wszystkiego była brutalna walka, żeby z manowców myśli nie było innego wyjścia nad pięść czy też lisi spryt życiowy, żeby nauki eleatów o czymś, co naprawdę jest niezależne od ludzkiego widzimisię, miały być tylko fantazją. Oto Sokrates wychodzi z manowców: oto wciąż przytacza i odrzuca konkretne przykłady i odsłania w nich kolejno jakieś jedno wspólne znaczenie. Jakaż rozkosz była Platonowi słuchać tego i iść myślami śladem mistrza z zapartym tchem i świecącymi oczyma. Zdawało mu się, że już gdzieś, kiedyś podobnie cudne chwile przeżywał. Chyba w innym, lepszym świecie — nie tu. „Wszelkie nabywanie wiedzy, to tylko przypomnienie tego, co dusza kiedyś w innym świecie oglądała.” Tak uczył później Platon, mistrz szkoły. Ale oto już się miał ku końcowi dialog, już prawie cała i skończona abstrakcja świeciła odsłonięta spod nawału marnych, mamiących i niejasnych konkretów, już wiedzieli towarzysze rozmowy, co to jest „piękno samo”, a nie ta lub owa rzecz piękna; Platon nie wiedział, Platon je *widział* prawie, prawie dotykał, czuł, że ono jest, bardziej jest, niż zmysłowe przedmioty znikome.

Czuł, że przebywa w lepszym, wyższym, wiecznym, oderwanym świecie, że prawie obcuje z bytami wiecznymi, ogólnymi, nie dającymi się uchwycić ręką ani potrafić oczyma śmiertelnymi. Jak towarzysze jego widzieli i pamiętali tylko zmysłowe przedmioty podczas rozmów potocznych, tak on, kiedy Sokrates modelował definicje, czuł, że widzi prawie oczyma duszy jakieś przedmioty nadzmysłowe, ponazywane imionami ogólnymi, unoszące się niby duchy czyste nad ziemią.

Ideami je nazwał później, kiedy przetopił te chwile nastrojów na teorię nie zawsze jasną i nie zawsze konsekwentną. A nie była „nauka” o ideach dość jasna, bo mu nie wyszła ta koncepcja poetycka ze spokojnych dumań nad pergaminowymi zwojami, tylko mu wykwitła z dreszczów zachwyty i blasku oczu rozwartych, i z chwil, w których nie czuł, gdzie jest, i słów mu brakło w zaciśniętej krtani.

Teraz Sokratesa kochał jak dziecko i czcił go, jak się bohaterów czci. Nie wierzył może nawet później chwilami, żeby Sokrates mógł być idej nie oglądać, skoro mu je sam odsłonił; kiedy stary milczał na jego zachwyty, on był przekonany, że Sokrates mówić tylko nie chce. Jemu się przecież niekiedy to narzucać musiało, że Sokrates z ideami obcował.

Większość z pewnością powie, iż zapewne chodzi o tę wieczność, dającą możliwość zakotwiczenia dla nieśmiertelności, dla nauki o duszach, stawiając na ewentualny spirytualizm obrońców teorii form, w nim doszukując się głównego ich interesu. I pewnie jacyś spośród nich faktycznie takim się kierują, powiedzmy fanatyczni katolicy, którzy bronią Platona o tyle, o ile jest im to potrzebne do obrony swej własnej wiary, która z niego czerpie.

Ale to nie jest jakaś dominująca i specjalnie ważna grupa.

To może chodzi o warstwę estetyczną? Ludzie bronią teorii form, bo im się podoba. Uznają ją za tak piękną, elegancką czy dającą to uniesienie, opisywane przez Witwickiego, że nieistotne stają się nawet jej kluczowe niedostatki i dzisiejsza niewielka wartość poznawcza. Mimo upływu ponad dwóch tysięcy i trzystu lat z kawałkiem jest po prostu wspaniałym przedmiotem estetycznym i jako taki nie może być mieszana z błotem. Gdy już jest, podnosi się larum. Ale znowu, ilu ludzi zdecydowałoby się na jej obronę z takiego powodu? „Wszyscy!” zakrzykniecie. „Głupio jest im z tego powodu nawet we własnym gronie, więc skurwiele się maskują i nigdy nie przyznają, że trzymają się memu wymyślony przez jakiegoś Ateńczyka w starożytności, narażając na ośmieszenie, tylko dlatego że im się podoba.” Nie. Samą estetyką tego fenomenu też nie wyjaśnicie.

Pomogę Wam. Sam rozwikłałem tę zagadkę dość niedawno, a mianowicie gdy ponownie przeczytałem dwa ostatnie akapity [swego komentarza, pozostawionego u Smootnego](#) oraz jego odpowiedź i zestawilem je z filmikiem [pod własną notką o Spencerze](#). Przy charakterystyce jednej z jungowskich funkcji poznawczych, introwertycznej intuicji (Ni), słyszymy coś takiego:

When you're explaining something to INFJ or when they're trying to learn about something, they're gonna have this inclination to push away all the details of what you're saying or what they're learning about and really dive in to the core ideas about something, the core meaning. What is really all about. So, in their topics of interest they're gonna want to dive deeply into them, in order to extract that core idea, that meaning.

Teraz powinniście już dostrzegać dokąd zmierzam. Pomijając pewną niezgrabność jaką powoduje angielskie "idea" ze swym platońskim rodowodem odnoszącym się do tego, czego pochodzenie chcę dopiero wyjaśnić, należałoby zapytać: czym są te szczegóły odrzucane przez INFJ i czym jest to rdzeniowe znaczenie, sedno rzeczy? Otóż sądzę, że gdybyście zebrali młodych, niewyrobionych jeszcze filozoficznie reprezentantów tego typu osobowości, zapytali ich „Co to znaczy «mieć wiedzę o przedmiocie»?”, przygotowali kilka odpowiedzi do wyboru, a wśród nich, jakąś sugerującą znajomość jego cech konstytutywnych (np.: „Mieć wiedzę o przedmiocie, to znać własności, dzięki którym ten przedmiot utrzymuje swoją tożsamość (pozostaje sobą), a których zmiana poskutkowałaby jej utratą.”), po czym kazali wybrać, ich zdaniem najbardziej adekwatną, to właśnie taka cieszyłaby się największym uznaniem i byłaby im intuicyjnie najbliższa. Dodawanie, bez względu na to, czy sumujesz 2 z 2 czy 3 z 5, przejawia te same właściwości. Jeśli je znasz, rozpoznasz to działanie bez względu na kontekst dodawanych liczb. Bez trudu odróżnisz też je od odejmowania – na przykład po tym, że jedno jest przemienne, a drugie nie. Znaczący, przemienność lub jej brak jest potrzebna, aby coś pozostało tym, czym jest. Za pomocą zmian kontekstu w jakim znajduje się przedmiot, można natomiast uchwycić najbardziej stałe i niewrażliwe na te zmiany, elementy – to właśnie one stanowią o sednie, istocie rzeczy.

Oczywiście, każdy z nich doszedłby prędzej czy później, do wniosku, iż sporym ułatwieniem w szukaniu tychże cech, jest istnienie wielu egzemplarzy czegoś określanego tym samym mianem. Wystarczy zastanowić się nad ich częścią wspólną, abstrahując od różnic, a dzięki temu zyskujemy bardzo podstawowe konstytutywne każdego z tych przedmiotów, i to hurtowo. A przy okazji powszechności, stanowiące w największej mierze, najtwardszą, najbardziej centralną część sedna, istoty danej rzeczy. Jesteśmy w domu?

Zdajecie sobie już sprawę, z tego na czym polega faktyczna niesamowitość teorii form? Nie na tym, że w pewnym momencie stanowiła jakąś odpowiedź na problemy postawione przez

poprzedników, takie jak problem tożsamości, zmiany czy relacji między bytem a pozorem, z którą nie radziła sobie teoria Parmenidesa. Ale na tym, że Platon tworząc ją, uwiecznił zarówno w swej ontologii, jak i kosmologii tak naprawdę nic innego, jak swoją dominującą funkcję poznawczą. Stworzył w nich nieśmiertelny autoportret swego sposobu myślenia. Był człowiekiem ze skłonnością do nieustannego szukania istot rzeczy (językiem fenomenologii – widzenia istotnościowego), a tę prawdę o sobie odniósł do świata i jego budowy. I to jest całkowicie oczywiste, jeśli się nad tym zastanowicie. Skoro to głównie w ten sposób poznawał świat i odnosił w tym sukcesy (począwszy od skutecznego odróżniania od siebie przedmiotów, na działaniach matematycznych skończywszy), jasne było dla niego, że struktura świata musi być kompatybilna z tym sposobem poznania. I na jakimś poziomie nawet jemu podobna. Epistemologia zawsze pociąga za sobą jakąś ontologię. Opis sposobu poznania determinuje charakter poznawanych przedmiotów. Człowiek poznający świat poprzez poszukiwania i zestawienia istot rzeczy, ostatecznie uznał, iż wszystko w nim jest efektem ich odbicia, uczestnictwa w nich.

Mówi to Wam inny człowiek poznający świat w dokładnie ten sam sposób. Taka jest istota genezy teorii form. [śmiech]

Ten swoisty, odcisnięty, metafizyczny autoportret Arystoklesa przetrwał do dziś. Jest jak wampir, którego nie powalą kolejne drewniane kołki, wbijane w jego serce. Nie dlatego, że daje nadzieję na życie wieczne. Ani dlatego, że jest ładny czy elegancki. A z tej przyczyny: nie stanowi on tylko i wyłącznie portretu samego Platona, ale też wszystkich ludzi mu podobnych, których cechuje ta sama inklinacja do rozumowego ujmowania rzeczy, definiowania, opisywania ich budowy. Wyławiania z nich jakichś wewnętrznych jakości, uznawania je za kolejne przedmioty i poddawania ich temu samemu oglądowi. Gdy tacy ludzie po raz pierwszy stykają się z platońską filozofią, odnajdują świat, podporządkowany ich najbardziej naturalnemu sposobowi postrzegania go. Świat zbudowany tym sposobem postrzegania. I odnajdują w tej filozofii część siebie, siebie dosłownie i w przenośni. Dla żartu wtrącę – *istotniejszą* część siebie. [śmiech] Bardzo często mamy wtedy do czynienia z tym, co tak udanie oddał Witwicki, w przytoczonym wstępie – z uczuciem posiadania czegoś niewyraźnego na końcu języka, co w końcu zostaje ujarzmione i objawione. Ten przez niego opisany zachwyty, jakiego doznał młody Ateńczyk, przeżywało następnie wielu jego czytelników. Ostatecznie jednak był to zawsze zachwyty ich swojością.

Jakże to cudownie introwertyczne i narcystyczne!

Twórczość filozoficzna emanacją charakteru jej twórcy

Motywacja wszechczasowego frontu obrony Platona powinna stać się dla Was oczywista. Sprawa nie tyczy jakichś nadziei na przyszłość pozagrobową, ani też upodobań estetycznych, a czegoś znacznie bardziej osobistego – czegoś czego, w odróżnieniu od tamtych spraw, nie można zmienić i zastąpić czymś innym – przynajmniej nie bez szkody dla siebie samego. Dlatego też walka ta jest zacięta i nieskończona, a stawka – bardzo wysoka. Tutaj dochodzimy do nieco przygnębiającego wniosku, że w sporej części nasze filozoficzne sympatie i preferencje determinowane są naszymi osobowościami. Niektórzy nigdy nie będą dobrymi materialistami, przekonującymi empirykami, sprawnymi apriorystami. A stąd, niedostępne będą dla nich pewne perspektywy, otwarte dla innych. I vice versa.

Osobiście jestem naprawdę beznadziejnym sensualistą, nigdy nie miałem zaufania do swoich bezpośrednich wrażeń zmysłowych, mój daltonizm zresztą w zdobyciu tegoż na pewno nie pomógł. Dlatego też prezentuję zupełnie odmienny stosunek do obserwacji niż inni ludzie. Co nie tyle uświadomiła, ale raczej zachęciła do otwartego przyznania wspomniana wyżej

rozmowa na blogu mego imiennika.

Sympatie i preferencje jednak pozostają. Kto odnalazł się u Platona, ten z pewnością znajdzie i za najbliższych sobie filozofów uzna: Plotyna i resztę neoplatoników, średniowiecznych realistów pojęciowych, następnie długo, długo nic, potem ciutkę Hegla i resztę niemieckich idealistów: Fichtego, Schellinga, Schopenhauera, następnie Meinonga z jego teorią przedmiotu (hah, mój wieloletni faworyt) czy wreszcie fenomenologów z Husserlem i Ingardenem na czele (analiza eidetyczna, oto co lubimy, nieprawdaż? fuck yeah!), a na Davidzie Lewisie kończąc.

Teza na dziś: wielość stanowisk filozoficznych w znacznej mierze wynika z indywidualnego sposobu postrzegania świata, spór między nimi jest w zasadzie sporem między samymi ludzkimi charakterami i ich poznawczymi preferencjami. Grzęźniemy w quasi-polilogizmie. Ale nie jest tak źle, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. W końcu jakiś wkład w filozofię mają wszystkie stanowiska – każde może zostać użyte jako nawóz dla nauki, tak było z platońskimi ideami w przypadku elektryczności, immaterializm Berkeleygo znaleźć możemy wśród kwantów w mikroświecie, atomizm materialisty, Demokryta też się zresztą przydał.

Gdybym miał okazję dziś pogadać z Platonem, za ten fragment o dążeniu wyłącznie do tego, czego się nie ma, zaprosiłbym go do wiedeńskiego [Figlmüllera](#) na ich delikatnego sznycla z kartoflaną sałatką, bo miał zadatki żeby zostać prawdziwym (proto)austriakiem. Ale spieprzył sprawę po całości i pozostał tylko bufoniastym Ateńczykiem. Przez którego jestem dziś narażony na wycieki pamięci w programach pisanych w Javie i czytanie Kardaszewskiego, który prezentuje dokładnie tę samą arystokratyczną butę wobec świata działań zwykłych ludzi, tak samo jest przekonany, że to jego wrażeniom estetyczno-moralnym należy podporządkowywać świat, który ma tę samą potrzebę uczestniczenia w sferze rzeczy szlachetniejszych i wyższych niż te, które oferuje szara codzienność. Dziwnym jednak trafem, ta potrzeba specyficznej duchowości jest w stanie zadowolić się czymś tak żenującym jak prymitywna statolatria, zwłaszcza w wydaniu narodowosocjalistycznym. No ale widocznie istnieje szlachetność i zbastardyzowana szlachetność...

Doktorowi Kardaszewskiemu serdecznie współczuję i życzę, aby znalazł wreszcie taki sposób wykorzystania swoich naturalnych talentów, który rzeczywiście przysłuży się jego lokalnemu otoczeniu i dla odmiany je nimi wzbogaci, co przyniesie mu społeczny szacunek, którego tak pragnie, a którego z pewnością nie zdobędzie, postępując jak do tej pory. Naprawdę, większą przyjemność sprawiają ludzie, którzy cenią nas z miłości, a nie dlatego, że trzymamy nad nimi bat i nachalnie pozujemy na ich wzory i wychowawców. A tym bardziej diagnozujących ich psychiatrów.

Tak więc Arystoklesie, ode mnie masz tego sznycla, a pod stołem solidnego kopniaka w tydkę i karnego kutasa za chujowe eksperymenty na Sycylii oraz kardaszewski stosunek do handlu i businessu.